

Zabawa w polską politykę zagraniczną (2)



Zdzisław M. Rurarz

Monday, 14 June 2004

Cimoszewicza - ktoś może powiedzieć - łatwo krytykować, ale *jaka* naprawdę powinna być polska polityka zagraniczna, żeby to była polityka, a nie zabawa w politykę?

Odpowiedź na to pytanie *nie jest* łatwa. Wynika to stąd, że tradycje pod tym względem Polska ma nie najlepsze, jeśli wręcz nie fatalne. Ponadto, w sytuacji kraju, który w Europie pretenduje do niemal wielkiego, a jednocześnie jest gospodarczo słaby, zagubiony w "wielkim świecie", a nierzadko mniej lub bardziej otwarcie lekceważony, prowadzenie skutecznej polityki zagranicznej jest trudne.

O polityce zagranicznej I Rzeczypospolitej po Janie III Sobieskim, choć i za jego panowania nie było z nią dobrze, lepiej już nie mówmy. Praktycznie więc nic takiego jak polska polityka zagraniczna nie istniało.

Polityka II Rzeczypospolitej z kolei, dopóki panowało "zacisze" na jej granicach, mogła być jeszcze jako tako klecona, na papierze przynajmniej. Ale gdy "zacisze" zaczęło się kończyć, to już *nic* mądrego nie można było wymyśleć. Jedynym mocarstwem, które traktowało do jesieni 1938 r. II RP poważnie jako potencjalnego sojusznika były, paradoksalnie, hitlerowskie Niemcy. ZSRR natomiast, żadnych sojuszniczych stosunków Polsce nie proponował, podczas gdy Francja uważała, że sojusz z II RP z 1921 r. był zupełnie wystarczający. Anglia, z którą Polska nieśmiało poszukiwała sojuszu, była długo głucha na jej odzywki i dopiero zaczęła o nim przebąkiwać w marcu 1939 r., ale z jego sformalizowaniem zwlekała aż do 25 sierpnia 1939 r., kiedy już było za późno na nadanie mu elementarnie koniecznych kształtów.

Stąd też bzdurą jest opowiadanie, że sojusz II RP z Francją i Anglią był sukcesem jej polityki zagranicznej, gdyż jakoby dotrzymały one sojuszniczych zobowiązań, wypowiedziawszy wojnę Niemcom. Wojnę wypowiedziały, ale osamotnionej Polski w walce z Niemcami *nie odciążyły* przecież. I tylko dziw bierze, że do ostatnich chwil ktoś w II RP mógł w coś w takiego wierzyć. Zresztą, formalne wypowiedzenie wojny Niemcom przez Anglię i Francję, nie wiadomo czym naprawdę skończyłoby się, gdyby Hitler wytrzymał dłużej i nie atakował ich. "Siedząca wojna" mogłaby przecież im się znudzić, a kto wie, czy po uderzeniu Hitlera na ZSRR jeszcze by go nie poparły.

Po Wrześniu, już *żadnej* polskiej polityki zagranicznej nie było aż do końca istnienia PRL, choć w międzyczasie jakieś jej pozory niewątpliwie istniały.

Czy zaś polska polityka zagraniczna odrodziła się po powstaniu III RP, można mieć poważne wątpliwości. Do dziś przecież *nikt* w Polsce nie wie, podobnie zresztą jak gdzie indziej w świecie, poza ścisłym gronem ludzi w Moskwie, dlaczego "wspólnota socjalistyczna", socjalizm i ZSRR zostały w przedziwny sposób rozmontowane i czemu ma to służyć.

Nowonarodzona III RP, zakładając jej pełną suwerenność i brak "podszeptów z boku", swoją politykę zagraniczną musiała więc tworzyć od podstaw, wytyczać jej bliższe i dalsze cele, jak też często improwizować. Nie należy zapominać, że niemal do końca 1990 r. na czele III RP stali jeszcze gen. Wojciech Jaruzelski i premier Tadeusz Mazowiecki, ludzie "peerelowskiego chowu", którzy łatwo nie mogli przestawić się na nowe tory, jeśli nawet by chcieli i mogli. Co się zaś tyczy ministra spraw zagranicznych, Krzysztofa Skubiszewskiego, "człowieka znikąd", to choć dziś daje mu się wysokie oceny za "nową" polską politykę zagraniczną - można mieć pewne refleksje, czy na nie zasłużył.

W każdym razie, jakkolwiek z "nową" polską polityką zagraniczną nie było, prawdą jest, iż III RP znalazła się nagle w sytuacji, której *nikt* nie przewidywał.

Na wschodzie, nie wchodząc już w to na ile było to rzeczywiście prawdą, na miejscu jednego radzieckiego sąsiada pojawiło się aż czterech nowych.

Na zachodzie pojawiły się zjednoczone Niemcy, a tym samym NATO i dzisiejsza Unia Europejska, wtedy jeszcze EWG, dotarły do granic Polski.

Na południu zaś, na miejscu Czechosłowacji, pojawiły się wkrótce Republika Czeska i Słowacja. I tylko na północy, po drugiej stronie Bałtyku, było względnie bez zmian, choć i tam Szwecja i Finlandia w 1995 r. przystąpiły do Unii Europejskiej.

Do tego wszystkiego doszło jeszcze powszechne w świecie, a szczególnie na obszarze b. wspólnoty socjalistycznej, "delirium demokratyczno-wolnorynkowe".

Nic dziwnego zatem, że III RP mogła dostać oczopląsu od tych wszystkich prawdziwych i pozorowanych wydarzeń, na które trzeba było jakoś reagować.

Ale jak?

Co się tyczy "polityki wschodniej" III RP, to poza pośpiesznym uznaniem niepodległości krajów bałtyckich, a następnie Ukrainy i Białorusi, mimo że te dwa ostatnie kraje weszły do Wspólnoty Niepodległych Państw, to na nic innego pomysłu nie było i nawet *nie mogło* być. Nowopowstała Rosja przyjęła bowiem "sfinksową postawę" w swojej polityce zagranicznej, degradując jednocześnie znaczenie dawnych "bratnich krajów", aczkolwiek nie na tyle, żeby stracić zainteresowanie dla swojej "strefy historycznego zainteresowania", a wreszcie zachowała swoje "wywiadowczo-kontrywywiadowcze aktywa" na ich terenie.

Bardziej czytelną wydawała się być natomiast nowa sytuacja na zachód od III RP.

Ze zjednoczonymi Niemcami trzeba było jakoś się ułożyć, ale nie udawać, że mogą to być stosunki serdeczne i równego z równym.

Z Francją, Anglią, a nawet USA, nic specjalnie światoburczego nie można było wymyśleć, jeśli abstrahować od poszukiwania członkostwa w NATO i EWG/UE.

Jak wiadomo, od początku istnienia III RP, znowu z własnej woli czy z "podszeptu", to zaczęła się ona dobijać do drzwi tych dwóch instytucji i dziś już wiemy z jakim skutkiem.

Czy dobrze zrobiła?

Uważam, że *niepotrzebnie* łomotała do natowskich i unijnych drzwi. Przysłowiowego noża na gardle nie miała i jeśli NATO i EWG/UE wahały się z ich otwarciem, to III RP mogła poczekać. Niechby zaoferowały *korzystne* wejście do nich, a nie samej pchać się do nich na siłę.

Co więcej, Polsce *niepotrzebna* jest przynależność do jakichkolwiek regionalnych bloków. Jej naczelnym celem w polityce zagranicznej powinna być "aktywna neutralność", znacząca udziałem w różnych ONZ-owskich

inicjatywach i akcjach, a *nie* przynależność do instytucji zamkniętego typu.

Trzeba było więc poczekać na stworzenie w NATO "stowarzyszonego członkostwa", a jeśli by go nie stworzono, to pał go sześć! Z EWG/UE zaś, stworzone "stowarzyszone członkostwo" należało *lepiej* wynegocjować, niż uczyniono to w umowie z 16 grudnia 1991 r.

I na tym powinien być koniec. Robienie porządku u siebie w domu, a *nie* w świecie, gdzie Polska podstawia swoją żabią nogę, tam gdzie konie kują, powinno być celem polskiej polityki zagranicznej, jeśli ma ona być czymś poważnym, a *nie* zabawą w politykę zagraniczną.

Komentarze

Napisz komentarz

Użytkownik:

Gość

Autor:

Komentarz:

Wyślij

Wyczyść

Powered by AkoComment 1.0 beta 2!

Close Window